Wydawnictwa rok VI
Dnia 25 marca 1928 r.

Nr. 238

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej.

TYDZIEN UBIEGŁY W POLITYCE I LITERATURZE

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

PRZERWA W ROKOWANIACH HANDLOWYCH polsko-niemieckich, która następuje nie po raz pierwszy od chwili ich rozpoczęcia przed dwoma laty, stanowi jeden dowód więcej, jak trudnym i nieobliczalnym kontrahentem jest nasz sąsiad zachodni, gdy chodzi o rozbudowę normalnych stosunków z Polską. I w tym wypadku inicjatywa tej przerwy przychodzi ze strony niemieckiej, jako pretekst wysuwającej ogłoszoną niedawno nowelę do naszej ustawy osiedleńczej w pasie granicznym. Że jest to tylko tani pretekst, którego się uczepili nacjonaliści niemieccy, sabotujący pokojowe stosunki z Polską — nie trzeba dowodzić. Rzecz mówi sama za siebie. Cóż bowiem wspólnego mają sprawy wymiany handlowej pomiędzy obu krajami z kwestją zewnętrznego bezpieczeństwa jednego z nich, którą każde państwo ma prawo i obowiązek regulować według własnych potrzeb? Dziś niepodoba się prawicy niemieckiej nasza ustawa osiedleńcza, jut o może im się nie spodobać coś innego w naszem prawodawstwie.. i będą robili nowe trudności w rokowaniach. Tego rodzaju taktyka podrywa całkowicie zaufanie do szczerości intencji strony, która w podobny sposób pojmuje swą lojalność, jako kontrahenta. Gdyby tego rodzaju epizody miały się powtarzać w przyszłości, powstałoby przed nami pytanie, czy warto tracić czas i pracę na podjęcie dalszych rokowań. Polska pod tym względem nie była, nie jest i nie będzie w sytuacji przymusowej. Niejednokrotnie udowodnialiśmy, że stan beztraktatowy z Niemcami tak bardzo nam nie dolega i bynajmniej się źle nie odbija na naszym bilansie handlowym. Jest więc rzeczą Niemiec dbać o to, by te gorszące pauzy się więcej nie powtarzały. Jak wiadomo, na tle rokowań z Polską, w gabinecie Rzeszy oddawna toczy się walka pomiędzy żywiołami postępowemi, skłonnemi do porozumienia z Polską, które reprezentuje min. Stresemann, a rzecznikami agrarjuszów, w osobie ministrów Schielego, Hergta et consortes. Ostatnie perypetje rokowań zdają się dowodzić, że szala przechyliła się na prawo, co zasługuje na baczną uwagę i z innych względów, przekraczających doniosłość spraw celnych i handlowych.

**
*

TAJEMNICA LISTU ZINOWJEWA mimo zabiegów Labour Party nie została dotąd wykryta. Sprawa ta wypłynęła na widownię w związku z aferą spekulacyjną wyższego urzędnika brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych Mc. Gregory'ego, który miał spowodować podanie listu Zinowjewa do publicznej wiadomości bez porozumienia się z ówczesnym premjerem Mac Donaldem. Zagadką pozostawało, jaką drogą list przewodniczącego III Międzynarodówki, adresowany do zarządu brytyjskiej partji komunistycznej, dostał się do rąk władz i prasy. Rąbek tajemnicy odsłonił niedawno b. redaktor „Sunday Times'u" Marlowe. Nie wyjawiając nazwiska swego informatora, Marlowe wyznał, iż w 1924 r. pewien „przyjaciel" dostarczył dziennikowi autentyczny odpis listu moskiewskiego. Gdy na Downing Street dowiedzieli się, że w najbliższem wydaniu pism londyńskich ukaże się tekst sensacyjnego listu, mimo nieobecności ministra spraw zagranicznych skierowano natychmiast notę protestacyjną na ręce sowieckiego posła Rakowskiego. W ten sposób rząd nie dał się wyprzedzić prasie, lecz prestige Partji Pracy został całkowicie poderwany. Po oficjalnem posunięciu gorliwych urzędników ministerstwa spraw zagranicznych, lorda Crewe i Mac Gregory'ego, Mac Donald nie mógł nawet salwować się zakwesjonowaniem autentyczności orędzia Zinowjewa. Tak wygląda sensacyjna sprawa listu w świetle ostatnich rewelacyj. Wyjawienie przez premjera Baldwina nazwiska tajemniczego informatora, Donalda im Thurn, który będąc osobą prywatną, działał wyłącznie z pobudek patrjotycznych, — nie wyświetliło sprawy; oświadczenie zaś leadera konserwatystów, że nawet Cziczerin miał potwierdzić autentyczność listu, zdementowane zostało natychmiast przez Sowiety. Nadal więc kwestja pozostaje nierozstrzygniętą: czy rzeczywiście Zinowjew pouczał robotników angielskich, iż rząd Labour Party nie będzie mógł oprzeć się rewolucji socjalnej, czy też opublikowanie listu było zręcznym manewrem konserwatystów, mającym na celu skompromitowanie gabinetu Mac Donalda wobec szerokich mas brytanji.

**
*

ROKOWANIA POLSKO-LITEWSKIE rozpoczynające się 30 b. m. w Królewcu, dają rządowi kowieńskiemu sposobność do spełnienia uroczystych przyrzeczeń, złożonych w Genewie, w sprawie położenia kresu niedorzecznemu stanowi wojny z Polską. Jeżeli, mimo wszystko, wbrew wymownym ostrzeżeniom ze strony wszystkich niemal państw świata, włączając w to i przysięgłych opiekunów Kowieńszczyzny, p. Waldemaras zechce popisywać się w Królewcu swoją ulubioną djalektyką pokątnego doradcy przegranej sprawy i za pomocą znanych swych wykrętów grać na zwłokę oraz sabotować pokój, odpowiedzialność za niepowodzenie tych rokowań spadnie na niego i jego przyjaciół. Nawet najbardziej nieżyczliwie względem Polski usposobieni obserwatorzy zagraniczni musieli przyznać, że w stosunku do dyktatorów kowieńskich, rząd nasz wykazał najwyższą miarę cierpliwości, jaka daje się pogodzić z godnością państwa i jego interesami. W dążeniu do nawiązania stosunków pokojowych z bratnim narodem, złączonym z nami tradycją wieków, rząd nasz przechodził do porządku dziennego nad niepoczytalnemi wybrykami jego chwilowych przywódców, którzy uzurpowali sobie władze w tym nieszczęsnym kraju, i na wszystkie ich prowokacje odpowiadał nieugiętą wolą do zgody i porozumienia z narodem litewskim. Lecz wszelka cierpliwość ma swoje granice. O tem winien pamiętać p. Waldemaras w Królewcu, dokąd udaje się nasza delegacja z p. ministrem Zaleskim na czele nie po to, by być świadkami nowego paroksyzmu uporu kowieńskiego. Jeżeli p. Waldemaras nosi się z zamiarem unikania w Królewcu poważnych i rzeczowych rozmów, a chce się tylko ograniczyć do ustnej interpretacji swych osławionych not, lepiej uczyniłby, gdyby rokowań wogóle nie podejmował.

Spodziewamy się, iż doświadczenia przeszłości będą dla p. Waldemarasa ostrzeżeniem, by struny nie przeciągał, gdyż pęknięcie jej tylko jemu może zadać cios bolesny. Przypuszczenie, iż premjer litewski dobrze sobie ten stan rzeczy uświadamia, skłania nas do optymistycznego poglądu na wynik rokowań królewieckich.

**
*

DWIE ORKIESTRY I JEDNA LADY spowodowały niesłychany fakt niesubordynacji w królewskiej marynarce brytyjskiej, jaki miał miejsce na stacjonowanym na Malcie okręcie wojennym „Royal Oak". Jak zaznaczył członek parlamentu, komandor Kenworthy, od roku 1757, gdy admirał Byng został rozstrzelany za odmowę oswobodzenia Minorki,

aby admirał był zmuszony zdjąć swą flagę, powiewającą na statku admiralskim, a komandor i kapitan zostali zawieszeni w czynnościach.

Pierwszy lord admiralicji, Bridgeman, odmówił członkom izby udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień aż do zakończenia śledztwa. Natomiast węszący sensację dziennikarze wyłowili następujące szczegóły incydentu. Przed wyruszeniem na manewry na pokładzie „Royal Oaku" odbyły się tańce, na które zaproszona została żona naczelnego dowódcy floty Śródziemnomorskiej, lady Keyes. Do tańców przygrywać miały dwie orkiestry: jazz band, składający z obcych marynarzy, i własna orkiestra „Royal Oak'u". Gdy zmęczeni jazzbandziści mieli ustąpić miejsca muzykantom statku admiralskiego, pod wpływem obecnych gości nastąpiła między oficerami ostra wymiana zdań. W rezultacie: „Royal Oak" nie wyruszył następnego dnia na manewry, admirał Collard opuścił swój okręt, komandor Daniel i kapitan Dewar wezwani zostali do Anglji, oskarżeni o brak subordynacji i naruszenie dyscypliny. Wszystko to zaszło z powodu ulubionego przez piękną lady jazz-bandu. I mów tu o zimnej krwi anglo-sasów!..

O KONIECZNOŚĆ STWORZENIA W POLSCE URZĘDU PSYCHOLOGA SZKOLNEGO

W biuletynie sekcji psychologów szkolnych za ostatni kwartał 1927 r., znajdujemy ciekawą rozprawę prof. dr. J. Joteykówny na temat powyższy. Gdy przed trzydziestu laty — pisze autorka—powstała nauka o dziecku, czyli pedologja, budowano na niej wielkie nadzieje w tem przeświadczeniu, że wszechstronne naukowe poznanie dziecka stanie się podstawą dla pedagogiki indywidualnej i zbiorowej. Olbrzymia praca w zakresie nauki o dziecku, dokonana w ciągu wzmiankowanego czasu nie została jednak w całej pełni wykorzystana przez szkołę. Dziwaczność sytuacji, jaka się skutkiem tego wytworzyła, polega na tem, iż z jednej strony mamy rozbudzone zainteresowanie nauczycieli, których się nawołuje do badań, z drugiej zaś — brak konkretnych wskazówek, w jaki sposób mogliby już obecnie zużytkować dane, zebrane przez naukę o dziecku i wcielić je poniekąd do programu wychowania i nauczania. I dlatego wśród nauczycieli nieraz najzdolniejsi skazani są na milczenie, a chociaż gromadzą cenne materjały obserwacyjne, wahają się z ich ogłoszeniem w braku umiejętnej i fachowej pomocy.

Przyczyny tego stanu są liczne. W pierwszym rzędzie należy wymienić trudność ustanowienia punktów styczności między wiedzą teoretyczną a stosowaną, trzeba tu bowiem zrobić ścisły wybór między rzeczami o wartości przemijającej, próbnej, a temi, których podstawy mają cechy twórczości. Drugą ważną przyczyną jest wielokierunkowość rozwoju psychologji teoretycznej. Ilość sprzecznych z sobą teoryj, dążących do wyświetlenia faktów, jest tak wielka, iż etap, który obecnie przeżywamy, nazwano kryzysem psychologji. Rzeczą przeto zrozumiałą jest, iż pokierowanie pracami, mającemi na celu zastosowanie zdobyczy psychologji teoretycznej na polu wychowania i nauczania może być powierzone tylko osobom odpowiednio do tego przygotowanym. Na pytanie, czy nauczyciel, nawet w najlepszych warunkach pracy, może stać się fachowym psychologiem — autorka odpowiada przecząco. Nauczyciel bowiem jest zaabsorbowany zadaniem kształcenia i wychowania i nie jest w możności przeprowadzić wszystkich potrzebnych badań, ani śledzić za rozwojem naukowej literatury psychologicznej. Z tego bynajmniej nie wynika, iżby nauczyciel miał być odsunięty od psychologicznych badań w szkole. Cała praca psychologiczna podjęta w szkole ma właśnie na celu dostarczenie nauczycielom tych wskazówek, jakie mu są potrzebne dla jego zadań pedagogiczno-wychowawczych. Należy mu w tej pracy dopomóc, by stał się czynnym współpracownikiem biorącym inteligentny udział w pracy, z której metodami i wynikami powinien być zawsze obznajmiony. Również lekarz szkolny nie może podjąć się roli kierowania prac psychologicznych. Stąd konieczność stworzenia instytucji psychologów szkolnych. Ogólnym celem, jakiemu służyć ma instytucja psychologów szkolnych, jest roztoczenie psychologicznej opieki, (tak samo ważnej jak opieka nad rozwojem fizycznym) nad dziećmi i młodzieżą, innemi słowy, dostarczenie każdej jednostce, na podstawie wyników badań psychologicznych, warunków możliwie najlepszego rozwoju psychicznego przez dostosowanie metod nauczania i wychowania oraz organizacji szkolnej do indywidualności uczniów. Osiągnięcie tego celu wymaga szeregu prac i zabiegów, zaliczanych przez autorkę do zadań psychologa szkolnego. Zadania te dr. Joteyko formułuje w 12 punktach. Między innemi autorka żąda, by opinja psychologa szkolnego była brana pod uwagę przy promowaniu uczniów z klasy do klasy w szkole powszechnej i średniej lub przy przenoszeniu ich z jednej szkoły do drugiej. Zdaniem autorki do psychologa szkolnego powinno także należeć inicjowanie wspólnie z nauczycielami badań eksperymentalnych nad wartością rozmaitych metod dydaktycznych, pedagogicznych i psychologicznych, jak np. metod nauczania poszczególnych przedmiotów, metod różniczkowania zespołów w obrębie szkoły i klasy, metod sjestowych, wypróbowania rozmaitych systemów ogólnych. Wyniki tych badań staną się także problemem produkcyjności przyjętego systemu nauczania i wychowania. Stąd ważne konsekwencje dla organizacji szkolnej, które prowadzą do racjonalnego przekształcenia pedagogiki i dydaktyki. W związku z tem powstanie również potrzeba ustanowienia urzędu naczelnego psychologa szkolnego. Do zadań jego należeć powinno: pokierowanie pracami, skoordynowanie wysiłków, unifikacja metod badania i naukowe opracowanie materjału, zebranego w licznych szkołach, oraz wyprowadzanie ogólnych wniosków.

W Londynie urząd psycholga szkolnego istnieje od 1913 — 14 roku; w ostatnich latach stworzono podobne urzędy w niektórych miastach niemieckich i w Belgji. W Warszawie w roku ubiegłym,

kuratorjum okręgu szkolnego pismem z dn. 16 lutego 1927 r. powierzyło p. Marji Kaczyńskiej, absolwentce Państwowego Instytutu Pedagogicznego, funkcję psychologa szkolnego na terenie szkół powszechnych, z głównym warsztatem pracy w szkole Nr 126, na Pradze. Sprawa jest więc już zapoczątkowana.

L. RO—n.....

JESZCZE O PODRĘCZNIKACH SZKOLNYCH*)

Poruszona przez p. Alfreda Lutwaka**) sprawa podręczników szkolnych jest niewątpliwie bolączką, wymagającą — jeśli całkowite usunięcie jest nieosiągalne — przynajmniej złagodzenia w łączności z całokształtem reformy szkolnictwa. Równie jednak trudną ,a może nawet znacznie trudniejszą do rozwiązania, jest sprawa **nielegalnych** podręczników szkolnych. Mam na myśli t. zw. „bryki", „prozajkiery", czy inną „pomoc szkolną", używaną przez młodzież przy nauce głównie języków klasycznych, a częściowo przy nauce innych przedmiotów (np. języka polskiego, historji, matematyki). Jako polonista pragnę rzecz naświetlić ze stanowiska nauki o języku polskim, sądząc, że do uwag moich będą mogli Panowie Koledzy, uczący innych przedmiotów, niejeden szczegół dorzucić.

Normalnie podstawą lektury w szkole jest tekst literacki, na którym opiera się analiza, przeprowadzana w wspólnym wysiłku przez nauczyciela i ucznia. Wszelkie przygotowanie do lektury (np. nakreślenie tła kulturalnego), uwagi, niedające się wysnuć bezpośrednio z tekstu lub z jednego tylko tekstu (np. komentarz językowy, porównanie autora polskiego z obcym) pochodzą od nauczyciela lub ucznia, pracującego podług wskazówek swego wychowawcy (referaty). Pozatem jednak całkowity plon lektury powinien być możliwie najsamodzielniej i do pewnego stopnia twórczo przez ucznia na podstawie tekstu zebrany. Bo tylko wtedy można realizować cel nauczania, przewidziany w programie ministerjalnym: „Nauczyć czytać utwory prozaiczne i poetyczne z należytem zrozumieniem i odczuwaniem ich treści i formy, nauczyć analizowania, wyjaśniania i samodzielnego przyswajania sobie tekstów, wzbudzić zamiłowanie do lektury".

Cała podobna organizacja studjów literackich w szkole upada lub conajmniej chwieje się, gdy uczeń dostanie w swe ręce tak ulubione skróty, komentarze, charakterystyki literackie. Do dyspozycji rozleniwiającego się stopniowo umysłu stają długie serje „Bibljoteki krytycznej arcydzieł literatury polskiej", „Bibljoteki krytyk literackich", które nie podając tekstu utworów, mają odegrać rolę „komentarza", zawierającego dokładną treść, charakterystykę osób, genezę, znaczenie utworu, t. j. część rezultatu, jaki powinien być zdobyczą lekcyj szkolnych, osiągniętą przez pracę sumienną, uczciwą i bogacącą ducha młodego. Bo i pocóż czytać długie nieraz teksty, poco mozolić się nad wyjaśnieniem sposobu konstruowania postaci przez autora, poco słuchać uzupełniających wykładów nauczyciela — gdy za kilkadziesiąt groszy można nabyć książeczkę, „zastępującą" kilkugodzinne czy kilkudniowe nieraz wysiłki?!

Konsekwencje są jasne. Uczeń demoralizuje się i intelektualnie podupada, gdy może bezkarnie oszukiwać nauczyciela i tanim kosztem uniknąć poważniejszej pracy umysłowej. Wiedza, jaką w ten sposób zdobywa, jest równa prawie zeru, bo polega na mechanicznem wykuciu skrótu, stojącego w dodatku na poziomie krytyki najlichszego przeważnie gatunku.

A środki zaradcze? Ewentualne represje, stosowane wobec ucznia, korzystającego z skrótów, nie przyniosą rezultatów pomyślnych, przeciwnie, spotęgują czujność u spółuczniów. Apel do księgarzy, by nie przyczyniali się do ogłupiania młodzieży, miałby za podstawę zupełnie naiwną wiarę, że księgarstwu naszemu chodzi pradziwie o dobro kultury, a nie o zyski materjalne. A owe serje właśnie są nieraz główną podporą pomniejszych księgarenek... Do niczego również nie doprowadziłaby akcja nauczycielstwa, zabraniająca kolegom, dostarczania tego rodzaju opracowań krytycznych, bo wtedy znaleźliby się autorzy, już całkiem nic z nauką niemający wspólnego.

Więc? Wyszukanie środków zapobiegawczych czy leczących stan podobny, znany zresztą nietylko dzisiaj, jest rzeczą bardzo trudną. Ale moja dalsza dyskusja, poparta zapewne z całą życzliwością przez Szan. Redakcję, przyniesie odpowiedzi pozytywne.

Dr. Karol Klein.

WAHABICI

(Zarys historyczny).

Wahabici, którzy, jak doniosła prasa, wypowiedzieli „wojnę świętą" Wielkiej Brytanji, stanowią wojowniczą sektę muzułmańskich purytan. Sekta ta powstała w drugiej połowie 18 w. w centrum Arabji, i już w początkach 19 w. potrafiła podporządkować swojej władzy prawie cały półwysep arabski, wraz z świętemi miastami Mekką i Medyną. Okrucieństwa, których się dopuszczali pod hasłem oczyszczenia islamu od pogaństwa przejęły dreszczem zgrozy cały świat muzułmański. Nazwę swą wahabici zawdzięczają swemu apostołowi i założycielowi Mohamedowi-Ibn-Abd-el-Wahabi (1703—91), który domagał się reformy islamu drogą powrotu do czystej nauki koranu i nienaruszonej, prymitywnej Sunny pierwszego okresu islamu.

Do rzędu pogańskich naleciałości islamu zaliczał Mahamed oddawanie czci świętym, pielgrzymki do ich grobów, (nie wyłączając i grobu Mohameda w Medynie), palenie tytoniu, noszenie jedwabnej odzieży, jako czynności, naruszających pierwotną prostotę. Ponadto domagał się, by wierni oddawali część dochodów biednym, wydawali zawsze surowe i sprawiedliwe sądy, nie pili alkoholu i prowadzili

*) Artykuł dyskusyjny.

**) Por. „Głos Prawdy" tygodnik, nr. 236, str. 165.

nieustanną walkę z niewiernymi. Jak więc widzimy istota wahabityzmu polega na przestrzeganiu z całą surowością wszystkich przepisów Koranu.

Do wniosków swoich doszedł Mohamed niezupełnie samodzielnie, gdyż już niejednokrotnie przed nim powstawała myśl oczyszczenia islamu od zbytecznych nawarstwień (bijde).

Mohamed pochodził z zapadłej okolicy Neddżu; z początku był kupcem, wiele podróżował, zwiedził Damaszek, Bagdad, Baszę, Mekkę i Medynę. Obserwacja życia utwierdziła go w przekonaniu, iż islam został poważnie skażony przez Turków. Prace Ibn-Tejmijje, mieszkańca Damaszku z XIII w. (1263—1328), który już wtedy poruszał tę sprawę dały mu teoretyczno-naukowy podkład dla jego poglądów. Początkowo napotykał on na gwałtowny sprzeciw zarówno ze strony duchowieństwa, widzącego w nim buntownika, jak i ze strony ludu. Musiał nawet uciekać ze swej rodzinnej miejscowości przed prześladowaniami. W końcu jednak znalazł możnego protektora w osobie wpływowego szeika Mohameda-Ibn Sauda, który stał się żarliwym wyznawcą głoszonych przez niego zasad. Z pomocą swych rodaków Ibn-Saud mieczem rozpowszechnił naukę Mohameda wśród sąsiednich beduinów — aż po zatokę Perską. Syn i wnuk Ibn-Sauda dokończyli dzieła ojca, jednocząc spustoszony ciągłemi waśniami bratobójczemi kraj w jedno państwo. W ten sposób cała prawie Arabia znalazła się w ich posiadaniu.

Wahabici, wzrósłszy niepomiernie w siły nie liczyli się z nikim i niczem ,plądrując, niszcząc i grabiąc tych wszystkich, którzy nie zgadzali się na przyjęcie ich reformy. Nie oszczedzili nawet Mekki, rozbijając święty kamień w Kaabie (1803—4). Potok pielgrzymów, płynący ze wszystkich krańców świata muzułmańskiego — ustał. Kto nie chciał przyjąć ortodoksyjnych dogmatów wahabityzmu, tego zaliczano do pogan i nie pozwalano mu na pielgrzymkę do Mekki. Przez długi czas ani damasceński, ani egipski pasza nie czuli się tak silni, aby wtargnąć w strefę Wahabitów, do której droga prowadziła poprzez trudne do przejścia pustynie. Wreszcie Turcja powierzyła egipskiemu paszy Mohamedowi-Ali dowództwo nad ekspedycją, mającą na celu odbicie świętych miast. W latach 1811—17 wojskom tureckim. (którym towarzyszył słynny pisarz i podróżnik Burkhardt) udało się wtargnąć do posiadłości Wahabitów. Zniszczyły one stolicę Wahabitów Derajję. i wzięli do niewoli, panującego wtedy syna Ibn-Sauda, którego ścięto w Konstantynopolu.

Lecz gdy tylko wojska egipskie opuściły Neddżd, dynastja Wahabitów znów powstała. W r. 1843 załogi tureckie wyparte przez wahabitów musiały opróżnić ostatnie placówki, jakie dotąd okupowały. Nową dynastję założył Purki-Ibn-Abdallah. Syn jego, utalentowany Fajsul był dobrze znany i ceniony przez Europejczyków. W 1863 odwiedził go emisarjusz Napoleona III, a wkrótce potem w (1865) do nowej stolicy Wahabitów, Pyjady, przyjechał z Busziru przedstawiciel Anglji. Dalsze dzieje Wahabitów nie są bliżej znane. Ich liczba obecna nie jest dokładnie ustalona, wskutek braku statystyki, dotyczącej centralnej Arabji. Zwykle przyjęto obliczać ludność środkowej Arabji na 4—5 milionów, t. j. mniej więcej ⅓ mieszkańców całego półwyspu; lecz nie wszyscy mieszkańcy Arabji są wahabitami. Z drugiej strony wahabityzm jest rozpowszechniony i w nadbrzeżnych pasach Arabji, w Indjach, i, być może, nawet w Chinach, gdzie miał wielu zwolenników w końcu 18 wieku.

L. R.

KRÓLOWA LAGUN

(Przekład z oryginału z upoważnienia autora Emilji Szenwicowej).

Złożyłem ostatni pokłon pięknej Florencji, pożegnałem ponury domek, gdzie spędził młodość Dante; skromną pracownię, w której Michał Anioł kreślił w młodości swe pomysły przedwczesnego genjuszu; pałac podesty z ciemnemi salonami, w których wydaje się, iż snują się widma strasznej polityki florenckiej i wysoką wieżę, gdzie dźwięczał ponuro dzwon sprawiedliwości, zwiastujący zgon skazanych na śmierć i pierwszym rannym pociągiem pojechałem do Wenecji.

Dymiła lokomotywa poprzez radośnie uśmiechnięte faliste wzgórza, uwieńczone cyprysami i pinjami. Winokrzewy, gęszcze różne kołysały swe barwne wierzchołki z obu stron drogi, i przez bezbrzeżną równinę, kryjąc się wśród wklęsłości lub wznosząc się łagodnem falowaniem niczem morze cimnej zieleni, rozścielały się słynne winnice wytwarzające Chianti i inne ogniste wina toskańskie, miłe dla podniebienia, przepajające krew zapachem kwiatów.

Otóż Ferrara. stary zamek książąt d'Este, zbudowany na pokrytym pinjami szczycie wzbija się ku górze czerwonemi basztami. a obalonemi wieżyczkami czyni wrażenie bezzębnej szczęki. W wyobraźni pojawia się wnet wspomnienie mojej rodaczki, Lukrecii Borgia tej rudej djablicy o zielonkawych oczach, pięknej jak pokusa, która duchem nigdy młodą nie była.

Tu właśnie była jedyna oaza spokojnego szczęścia w życiu owej ciekawej kobiety, oczernionej przez muzę romantyczną. Była istotą słabą. wiecznem narzędziem w rękach swej rodziny Urodziwszy się w innem środowisku, byłaby może cnotliwą i dobrą. Cierpiała na skutek tego. iż zrządzeniem losu jej ojciec był papieżem a braćmi najwięksi złoczyńcy świata. Jednoczyła w sobie całą namiętność i zepsucie ówczesnej epoki, z tą zadziwiającą łatwością przystosowania się, które posiada kobieta w stosunku do dobra i zła.

Pociąg mknie dalej. Mija Bolonię z jej sławnym uniwersytetem. wielkopańskiemi siedzibami, zamieszkiwanemi przez starą arystokrację, fabrykami salcesonów i mortadeli Pozostawiamy na uboczu słynną Rawennę z jej bazyliką bizantyjską zawierając w swych murach na złoconem tle mozajki wałkie postacie Justyniana z Radą prawników i Teodory z jej dworem mistycznych rozpustnic interesujących się dysputami teologicznemi. Przejeżdżamy przez Padwę, osnutą duchem świętości i cudów, przechowującą jeszcze obecnie w starożytnym zamku przerażające narzędzia tortur, wy-

myślone przez Angela, ponurego tyrana paduańskiego.

Zbliża się Adrjatyk, Veneto rozpościera niziny z takim przepychem żyzności, iż przychodzi na myśl urodzajna gleba walencjańska. Widzimy pola obsiane warzywami, sieć małych kanałów wije się wszędzie a przykucnięte kobiety zbierają pomiędzy liśćmi truskawki.

Przyroda odczuwa zbliżanie się Wenecji. Sole morskie oddziaływują silnie na urodzaj; roślinność zmniejsza się, wyłaniają się w uprawnej roli zielonkawe bagna, pokryte sitowiem, wśród którego rechocą żaby swą wieczną zwrotkę; wreszcie dojeżdżamy do Mestre, ostatniej stacji na lądzie na samym brzegu laguny. Olbrzymi most stanowi jedyne połączenie Wenecji ze stałym lądem. Jak błękitny obraz mający jako obramowanie, wąskie pasmo lądu, mury stacji i dachy z żelaza, roztacza się przed nami w głębi słynne miasto, królowa lagun, wyłaniająca się morza, jak owe fantastyczne grody w legendach wschodnich, stworzone samem tchnieniem czarnoksiężnika.

Roztacza się widok prześliczny. W oknach wagonu tłoczą się głowy, ukazują się twarze pełne niecierpliwego zapału. Wydają się wiecznością owe chwile, podczas których pociąg zatrzymuje się w Mestre. Jest się pełnym niepokoju, odczuwa się namiętne życzenie przebyć jak najprędzej tę przestrzeń, jak gdyby lada chwila most miał zatonąć lub przedziwne miasto mogło się jak marzenie senne, rozwiać na tle błękitów.

Tak, marzenie senne, oto trafne określenie. Zaczyna się wątpić, czy jest rzeczywistością odcinająca się na zielonkawem tle Wenecja o drżących zarysach, ozłocona słońcem, o odblaskach lekkich mgieł, spoczywająca w otoczeniu wysp, zamienionych w ogrody.

W oddali widnieje szereg zbliżających się statków, odcina się na wibrującem przestworzu pięć złoconych kopuł św. Marka, wysmukła dzwonnica z marmurowemi oknami, sto wież kościołów, będących muzeami, filigran wieńczenia pałacu dożów i niezliczone pałace, na których rzeźbiony w przezroczą koronkę kamień tworzy subtelną tkaninę, wspinającą się na murach malowanych tą ciemną barwą purpurową, zwaną wenecką czerwonym kolorem. Ta piękna całość, przepojona światłem, mieniąca się w odcieniach barwnych, odźwierciadla się w niespokojnie drgających lagunach, niczem olbrzymia galera, kołysząca się na martwych wodach, zdobna w marmury i złoto.

W oddali dostrzegamy snujące się czarne gondole jak owady, prześlizgujące się pod mostami. Radosnym dźwiękiem harmonijnych dzwonów wita się południe, jak gdyby w wysokich wieżach zagnieździły się święte ptaki, mkną łodzie rybackie wzdłuż brzegów z wzdętemi wiatrem kwadratowemi żaglami, podobne do wielkanocnych papierowych latawców ozdobionych dziwacznemi postaciami i kapryśnemi rysunkami.

Wjeżdżamy na most, sztuczny przesmyk, łączący Wenecję z wybrzeżem o długości czterech tysięcy metrów — drobnostka. Cały most, zbudowany z marmuru istryjskiego, spoczywa na dwustu dwudziestu dwuch łukach. Będąc osadzonym nad stojącą wodą, na której burza wywołuje lekkie falowanie, jest zaledwie parometrowej wysokości, tak, iż siedząc w wagonie, odnosimy wrażenie, że suniemy po morzu.

Przejazd pociągiem przez olbrzymi most, rzucony na laguny, trwa kilka minut. Różne punkty mostu o jaśniejszej barwie wskazują na późniejsze naprawy, dokonane w pierwotnej budowie. Mimowol przychodzi na myśl nowoczesna epopeja, w której Wenecja dała po raz ostatni znak swego istnienia wykazując, iż nie wygasło męstwo starożytnych zdobywców Wschodu.

W Wenecji żyje ukryte i sławy pełne wspomnienie o Dandolo Pisani, Morosinich [illegible]h dożach i sławetnych kapitanach morskich i lądowych, którzy nieśli, jako zwycięzcy przez Grecję i Bizancjum skrzydlatego lwa św. Marka. Na tym moście — ostatnim wyrazie techniki — budzą się w pamięci dzieje Daniela Manina, żyda z pochodzenia, zaciekłego rewolucjonisty i przebiegam myślą wzruszającą epopeję rzeczypospolitej weneckiej z 48 roku.

Zadziwia śmiałość tego narodu marynarzy i hart ducha trybuna Manina, którzy przy samych wrotach Austrji śmieli wznieść sztandar niezależności włoskiej wypędzając ciemiężców Po chwilowym trjumfie bohaterski upadek, dumna agonja pełna chwil goryczy i faz heroizmu. Manin, literat, pochwyciwszy szpadę wyrzucił siłą z pałacu dożów słabą ludność, która onieśmielona nędzą oblężenia prosiła o poddanie się. Most został przecięty i najeżony bateriami, odpowiadającemi Austrjakom, obsypującym miasto deszczem żelaza. Wielka armja, oblegająca Wenecję nie przepuszczała ani jednego ziarna zboża do miasta które z natury swego położenia jest zdane na dowóz żywności z zewnątrz. Wenecjanie zostali zmuszeni nie do jedzenia koni, gdyż ich niema, lecz do żywienia się szczurami z grobli i wstręt budzącemi rybami z błotnych kanałów. Głód i cholera zabijały więcej stot aniżeli bomby austrjackie, lecz pomimo tego sztandar rzeczypospolitej weneckiej powiewał jeszcze na kopule św. Marka w przeciągu sześciu miesięcy. Jednakże, gdy wenecjanie zostali opuszczeni przez wszystkich, skończył się tragiczny opór. Dnia pewnego dowiedział się Paryż, iż gości w jego murach emigrant imieniem Daniel Manin, trybun swego kraju, były dyktator, wielkorządca miasta, zawierającego niezliczone skarby artystyczne. Pogrążony w ubóstwie pragnąc zarobić w stolicy nad Sekwaną trzy lub cztery franki, udzielał lekcji włoskiego, przebiegając dziennie mile całe w lekkiem, zniszczonem palcie, wśród deszczu i zamieci śnieżnej.

Słodki Maninie, duszo jasna i pełna świetnej odwagi, bezinteresowny patrjoto, który swemi czynami zadałeś kłam instyktowi chciwości rasy izraelickiej. Posiadał w chwilach próby porywczą odwagę Machabeuszów; był wielkim i cnotliwym w nieszczęściu, niczem bohater Plutarcha i Wenecja spełniła swój obowiązek wzniósłszy mu piękny grobowiec na „Piazzecie", tuż za kościołem św. Marka, w którym spoczywają szczątki Manina oraz zwłoki żony i córki, zmarłych na emigracji.

Wjeżdżamy na dworzec kolei w Wenecii i schodzimy z wagonu z uczuciem wzruszenia, jak gdyby mury były kurtyną teatru które po odsłonięciu się ukażą czarowny widok. Cóż tam będzie za temi drzwiami zatarasowanemi przez tragarzy i chłopców hotelowych i innych ludzi, śpieszących na spotkanie podróżnych?

Gdy zapytałem o „Hotel Cavallero", wysunął się z tłumu gawiedzi i zaopiekował moją walizką wioślarz, odziany na biało i niebiesko jak z operetki, w czerwonej szarfie i słomianym kapeluszu zdobnym w przepaski. Zaledwie wyszedłem z dworca zatrzymałem się na brzegu marmurowych schodków, o które uderza łagodnym pluskiem zielonkawa przezrzysta woda w słońcu przezierającem się w falach, niby przepełniona pląsająca gromada złotych rybek.

Jesteśmy na Canal grande i ruchomy tłum gondol kołyszący się w oczekiwaniu podróżnych ma to samo znaczenie co w innych miastach omnibusy i dorożki z przystanku, które oczekują przyjezdnych aby odwieźć ich do domu. Gondole o wygiętej linii, jedynie środkiem dotykające wody, zbliżają do chodnika swe zębate, żelazne dzioby w kształcie grzebienia. Przez okna czarnego czółna widzi się wnętrze kajuty w gondoli, wysłane czarnem, skórzanemi poduszkami zdobne w jedwabne sznury. Łodzie hotelowe podobne do statków lśnią w słońcu złoconemi rzeźbami i błyszczą wielkiemi latarniami drewnianych domków Wymijają się wzajemnie, pędząc jak strzały, barki utrzymujące czystość miejską z łódkami sprzedawców ulicznych, obładowanych kapustą i sałatą, drzewem lub mięsem. Na chodniku tłoczą się z hałasem gondoljerzy, ubrani tak dziwacznie, iż jedynie krawiectwo operetkowe mogło wymyślić tak barwny strój dla chóru wioślarzy; czapki czerwone kapelusze w paski, skórzane lakierowane lub słomkowe kapelusze, szarawary związane mocno lub luźno powiewające srebrnemi frendzlami.

Głucha cisza, owa słynna cisza w Wenecji jest pierwszem wrażeniem, które odbija się w świadomości podróżnika, przyzwyczajonego do ruchu kołowego wielkich miast. Na mostach marmurowych, spiętych nad kanałami, rzadko spotkać można przechodnia. Kamienne olbrzymy z zamkniętemi oknami, stojące szeregiem na Wielkim kanale zdają się drzemać. Przeciągłe okrzyki „ohe", „scia", jakie sobie wzajemnie rzucają gondoljerzy oznaczając kierunek jazdy, jest jedynym dźwiękiem, przerywającym tę ciszę.

Gospodarz hotelu Cavallero jest pewnie ofiarą „jettatury". Nic mu nie pomagają rogi z koralu które nosi na wystającym brzuszku przy łańcuchu od zegarka. Jestem jedynym gościem zajeżdżającym dzisiaj i wygodnie rozkładam sie w wielkiej łodzi niczem doża na Bucentaurze Lekkie uderzenie wioseł i piękna gondola mknie po falach, odzwierciadlając w toni swe złocenia Spotykamy w wąskich kanałach pod każdym mostem czółno przepełnione wesołymi djabłami przybranymi we wstążki, błyskotki, i świecidełka, którzy przy dźwiękach gitar i skrzypiec, śpiewają tańczą i gestykulują jak opętańcy Witają podróżnego nie zapominając wyciągnąć ku niemu na końcu kija uczepiony worek, aby wrzucił do niego parę soldów.

To już echa dawnych weneckich zapust.

Blasco Ibanez.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

LISTY I MOWY

Norwegja, a wraz z nią cała Skandynawja, obchodziła w dn. 20 marca r. b. uroczyście stulecie urodzin H. Ibsena — potężnego dramaturga czasów naszych, „nieśmiertelnego prawdomówcy", jak go zwie Żeromski w „Ludziach Bezdomnych". Prasa całej Europy poświęca Ibsenowi artykuły o jego życiu i twórczości, teatry grywają jego sztuki. Z racji setnej rocznicy Ibsena wydano w Kopenhadze pośmiertny zbiór listów, przemówień i artykułów wielkiego pisarza.

Poniżej podajemy w przekładzie dwa specjalnie charakterystyczne listy i dwie mowy Ibsena.

List do króla.

Rzym, 15 kwietnia 1866 r.

Wasza Królewska Mości!

Podpisany Henryk Ibsen niniejszem prosi Waszą Królewską Mość o pozwolenie przedłożenia rządowi norweskiemu wniosku wypłacania mi rocznej pensji autorskiej, w wysokości 400 talarów, dla dania mi możności poświęcenia się wyłącznie swemu powołaniu — poety.

W ciągu dwóch lat 1862 i 1863 udzielono mi z polecenia Waszej Królewskiej Mości dwa stypendja po 100 talarów każde na letnie wyjazdy w granicach kraju; poczem w r. 1863 otrzymałem stypendjum 400 talarów z funduszu stypendjów zagranicznych dla działaczy na polu nauki i sztuki, a za te pieniądze przedsięwziąłem w r. 1864 wyjazd zagranicę, gdzie dotąd przebywam — przeważnie w Italji.

Pierwszym owocem mej wyprawy zagranicę był wydany niedawno w Kopenhadze poemat dramatyczny „Brand", który w ciągu kilku tygodni od czasu ukazania się w druku, zdołał zwrócić na siebie uwagę nawet zagranicy; jednakowoż z otrzymywanych dowodów uznania i zachęty istnieć nie mogę, honorarjum zaś autorskie nie wystarcza dla przedłużenia mego pobytu zagranicą i wogóle dla zapewnienia mi najbliższej nawet przyszłości.

Ośmieliłem się tedy na ten niezwykły krok: zwrócenia się z prośbą osobistą do Waszej Królewskiej Mości stosownie do rady udzielonej mi telegraficznie przez przyjaciół.

Zabiegam tu o zabezpieczenie sobie jakiej takiej egzystencji, ale jednocześnie walczę o dzieło swego życia, wierząc niezłomnie, że sam Bóg przeznaczył mnie ku niemu, a które wydaje mi się najważniejszem, najistotniejszem dla Norwegji: dzieło rozbudzenia świadomości narodowej i wskazania ludowi norweskiemu jego wielkich zadań.

Prywatny wniosek w tej sprawie, który — jak mi przyjaciele donieśli — niektórzy członkowie Stortingu (parlamentu) mają zamiar wnieść, nie ma widoków powodzenia; na zwracanie się zaś do rządu — za późno.

Przeto moją jedyną i ostatnią nadzieją jest — Wasza Królewska Mość.

Od Waszej Królewskiej Mości zależy nie dać mi zamilknąć, ugiąć się pod ciężarem gorzkiego wyrzeczenia się — które może stać się klęską duszy ludzkiej: — wyrzeczenia się dzieła swego życia. Musiałbym opuścić to pole bitwy, na którem jestem powołany, wiem to, — walczyć, a byłoby mi to tembardziej bolesnem, że dotychczas nigdy nie sprzeniewierzyłem się temu powołaniu.

Sądzę jednak, że mogę być spokojny, wyjaśniwszy cel o który walczę, uwadze Waszej Królewskiej Mości.

Henryk Ibsen.

Listy do Björnstjerne-Björnsona.

Sierpień 1882 r.

...Dzieła Twoje, przyjacielu, zajmują jedno z pierwszych miejsc w historji literatury, i zawsze zajmować je będą. Gdybym jednak miał scharakteryzować Twoją działalność na twym pomniku — określiłbym ją w słowach: „Jego życie było jego najlepszem dziełem".

Urzeczywistnić siebie samego w swem życiu— jest to najwyższe zadanie dla człowieka. Większość ludzi jednakowoż nie spełnia go.

Henryk Ibsen.

MOWA DO ROBOTNIKÓW W TRONDHJEM.

„Przybyłem do Norwegji przed tygodniem po 11-tu latach nieobecności. Ale w ciągu tego tygodnia doznałem więcej radości, niż przez 11 lat na obczyźnie.

Stwierdziłem wielki postęp we wszystkiem, ujrzałem że naród, do którego należę, znacznie bardziej zbliżył się do Europy, niż to było dawniej.

Ale i pewnych rozczarowań doznałem. Przekonałem się, że najistotniejsze prawa jednostki wciąż jeszcze nie są tu zagwarantowane, jak tego oczekiwałem od nowego kursu państwowego.

Przeważna część ludzi rządzących nie pozwala ani na wolność sumienia, ani na wolność słowa, poza samowolnie narzuconemi ogółowi granicami.

Wiele tedy mamy do zrobienia, byśmy mogli powiedzieć, że posiedliśmy pewną wolność w kraju! Ale lękam się, że nasza demokracja nie podoła temu zadaniu. Do naszego życia państwowego, do naszych sfer rządzących, do naszej reprezentacji i do prasy musi wejść nowy element — szlachetności!

Myślę tu, rzecz prosta, nie o szlachetności w sensie rodowej arystokracji, czy finansowej, czy intelektualnej, ba, nawet nie o arystokracji ducha, którą tworzy talent bądź zdolność. Nie, mówię o arystokracji, powstającej z woli, z charakteru, z całego duchowego układu człowieka.

Ona jedna wyzwoli nas.

To szlachectwo duchowe, które — wierzę w to, posiądzie nasz naród, ta arystokracja przyjdzie do nas z dwóch stron. Wysuną ją dwie grupy: nasze kobiety i nasza klasa robotnicza.

Przemiana ustroju społecznego, która odbywa się teraz w Europie, dotyczy głównie położenia robotników i kobiet!

Oto czego oczekuję, czego pragnę, gwoli czemu gotów jestem całe życie pracować.

Niech żyje świat robotniczy i jego przyszłość!

Z mowy wygłoszonej w Stockholmie.
(w 1887 r.).

„...Powiedziano, że właśnie ja w wielkim stopniu przyczyniłem się do nastania nowego stulecia. Uważam, że nasze czasy z całą słusznością można nazwać tylko „epilogiem", po którym ma powstać coś całkiem nowego. Sądzę, że teorja nauk przyrodniczych o ewolucji da się zastosować również do świata czynników duchowych. I sądzę, że teraz istotnie blizkie jest stulecie, gdy pojęcia polityczne i socjalne przestaną istnieć w formach dotychczasowych, i że zarówno z jednych, jak i drugich powstanie coś nowego, jednolitego, co zapewni warunki szczęścia ludzkiego. Poezja nowa, nowa filozofja i nowa religja stworzą nową siłę żywotną, o jakiej my, ludzie dzisiejsi, nie możemy mieć właściwego pojęcia.

Wierzę w odrodzenie ideałów naszych czasów. W dramacie swym „Cezar i Galilejczyk" nazwałem to „dniem nastania trzeciego królestwa".

Tłom. J. M. *Henryk Ibsen.*

O KATEDRĘ LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ

Przed kilku tygodniami Juljusz Kaden - Bandrowski na łamach dodatku literackiego „Głosu Prawdy" wystąpił z projektem, któremu nie można dość gorąco przyklasnąć. Chodzi o katedrę literatury współczesnej w naszych uniwersytetach.

Nigdzie indziej na świecie zmora historyzmu nie jest tak groźna i tłocząca jak u nas. Wytworzyła się ziejąca przepaść między potrzebami chwili a wysiłkami naszej pracy społecznej. Zachodzi potrzeba rozwiązywania tysiącznych zagadnień życia bieżącego, podczas gdy siłą bezwładu kręcimy się w kieracie jakichś przedawnionych, zamierzchłych, nikomu niepotrzebnych kwestyj i kwestyjek.

Ludzie „kulturalni" załamują ręce nad upadkiem dajmy na to pism poważnych w rodzaju „Prze-

glądu Warszawskiego", ale nie chcą wiedzieć nic o tem, że zmora akademizmu w rodzaju piekących kwestyj, jak np. „Genezy Tartuffe'a", „Znaczenia symbolicznego Lohengrina, „Swieżości poezji Ronsarda", „Pobytu T. T. Jeża w Genewie" i t. p. — uniemożliwia człowiekowi nowoczesnemu minimalne choćby zainteresowanie się pismami tego rodzaju. Niechże sobie poezja Ronsarda odkwitnie najświeższemi rumieńcami świeżo uszminkowanego przez p. Folkierskiego nieboszczyka, niech dwojga imion Jeż dostanie kataru lub przy bardziej sprzyjających okolicznościach złamie nawet nogę w Genewie czy w Kiernozi — kwestje te niewątpliwie „zasadniczo" ciekawe, w niczem nie zmienią naszej olimpijskiej wobec nich obojętności, skoro w danej chwili zajęci jesteśmy brukowaniem ulicy, walką z wzrastającem bezrobociem lub z analfabetyzmem życiowym mumij, roszczących sobie pretensje do smaku i kultury.

Byłoby nawet rzeczą wręcz zastraszającą, żeby ta garstka żywych ludzi, ugniatających w trudzie niemałym plastyczną glinę życia bieżącego, trawiła czas w sposób rozrzutny nad rozważaniem tak jałowych kwestyj.

Dorobek chwili bieżącej we wszystkich dziedzinach (nauka, technika, sztuka, społeczeństwo) jest tak niesłychanie bogaty, tak olśniewający w swoich konsekwencjach w bliższej czy dalszej przyszłości, do której same ręce się prężą, że nie mamy czasu ani cierpliwości oglądania się wstecz. Czujemy, widzimy, że każda sekunda chwili bieżącej jest lepszą odskocznią dla przyszłości, niż tysiąclecia ubiegłe— dla teraźniejszości. Dlatego z gorączkową, palącą ciekawością przerzucamy nie archiwa historyczne, akta i dokumenty lecz biuletyny pracy naukowej, pisma codzienne, oczekując w każdej chwili, godzinie, na tle międzynarodowego wyścigu człowieka pracującego — tego zbawczego słowa, tego dziejowego remedjum, serum na raka, suchoty, głód mieszkaniowy, nędzę, upodlenie, krzywdę kalectwa i przywilej urody.

Ze względu jednak na zawodową u naszych uczonych i profesorów manję grzebania się w kurzu szuflad wielkich nawet może skądinąd umarlaków zrywa się zupełnie wszelka łączność między życiem bieżącem a nauką. W każdej innej dziedzinie sytuacja taka byłaby absurdalna. Mimo całej rewerencji dla Newtona czy Lavoisiera archeologicznym zabytkiem, kpem i nieukiem byłby fizyk lub chemik, któryby w chwili obecnej, miast badać teraźniejszy stan tych nauk, czas tracił specjalnie na studjach nad „Principia philosophiae naturalis mathematica".

Cóż więc powiedzieć o historyku literatury, który, nie bacząc na mnogość, odkrywczość i beztradycyjność nowych środków wyrazu poetyckiego w badaniach swoich nie raczy ich uwzględniać, gdyż na bezstronne i naukowe zajęcie się tą kwestją brak mu stosownej „perpektywy historycznej..." Dlaczego ta „perspektywa" ma obowiązywać w naukach humanistycznych, a nie obowiązuje w naukach, które roszczą sobie prawo do „ścisłości"?

Jest w tem przeciwstawieniu jakieś zasadnicze pomieszanie pojęć. Wartość czy owocność jakiegoś nowego „chwytu literackiego" da się ustalić może nie tak pewnie i bezapelacyjnie jak w naukach ścisłych (w których zresztą polemiki tego typu są na porządku dziennym), lecz zasadnicza możliwość tego rodzaju badań jest równie oczywista jak w naukach ścisłych. „Perspektywa historyczna" zresztą nie jest tu niezbędnym i jedynym warunkiem. Mochnacki w swoim czasie bez owej perspektywy mógł wcale przednio, jak widzimy obecnie, ustalić hierarchję literacką swojej epoki. Czyni to zresztą w zakresie aktualnych badań literackich mniej lub więcej słusznie każda przecież krytyka.

Młodzież uniwersytecka, poświęcająca się studjom literackim, dzięki sztucznej kultywacji historycznych zabytków przez wyższe uczelnie, wstępuje w życie spóźniona w rozwoju i obarczona dziedzicznie niewczesnością pojęć.

Z trudem niemałym ci i owi zdołają pozbyć się garbów problematyki z przed lat stu i zbliżyć do aktualnej walki literackiej. Naogół jednak brak tej młodzieży zasadniczo „perspektywy" rzeczowego stosunku do aktualnych zagadnień, gdyż ta historyczna jest dla niej tylko zakopconą szybką, przez którą, patrząc na świat, dojrzeć go nie mogą. Zdrowy jednak instynkt tej młodzieży zwycięża. Zainteresowania mimo wielkich obarczeń dziedzicznych zwracają się w przytłaczającej większości wypadków ku literaturze współczesnej, o czem dobrze wiedzą i co daremnie starają się zwalczyć wszyscy profesorowie.

Największą trudnością w ustaleniu katedry tego rodzaju byłaby zapewne nie teoretyczna niemożliwość studjów tego rodzaju lecz brak ustalonych i „skodyfikowanych" źródeł dla wykładającego. Niema niestety książek wielotomowych, monografij, „przyczynków do przyczynków", które każdemu profesorowi ułatwiają życie, czyniąc zeń referenta wyślinionych przez tysiączne autorytety kwestyj i kwestyjek. Tej pracy nadludzkiej trzeba podołać samemu, w żywej i stałej łączności z współczesnym ruchem literackim. Profesor tego typu nie mógłby być więc mumją, biernym obserwatorem „jarmarku życia" (jak chcą nasi czcigodni...) lecz szerokiem łożyskiem, przez które przelewać się powinny spiętrzone fale współczesnego życia. Ale o tych talentach nie mogą rozstrzygać same doktoraty, habilitacje ani kwalifikacyjne głosowania upełnomocnionego do rozdawania katedr profesorskiego grona, wrogiego zasadniczo wszelkiej żywej postawie.

Katedra literatury najnowszej powinna obejmować ściślej literaturę współczesną, dzieła i twórców niepodległej Polski po r. 1918. Między poezją nową i dawną, zachodzi zasadnicza różnica, o której nie czas tu mówić. Nowe warunki życia wymagają zaktualizowania zbiorowego wysiłku, wyjścia poza młodopolskie śnienia i nastroje. Tę ambitną rolę spełnia lub spełniać się stara nowa poezja polska. Słuszne więc, by przyznać jej oficjalne prawo do organizowania życia w postaci omawianej katedry, która powinna się przyczynić do zasypania przepaści, dzielącej literaturę od nauki o literaturze i życie od litery.

Jan Nepomucen Miller.

NA MARGINESIE

DOSKONAŁA INICJATYWA

Doskonałą inicjatywę powziął w Klubie Artystycznym prof. Wł. Skoczylas. Klub Artystyczny urządza szereg wieczorów w najbliższym czasie pod łącznym tytułem Państwo a Sztuka. Na wieczory te o charakterze informacyjno - dyskusyjnym zaproszeni mają być posłowie na Sejm, aby mogli zorjentować się w położeniu, w jakiem obecnie znajduje się i sztuka polska i jej pracownicy.

Na wieczorach omawiane będą poszczególnie przez odnośnych referentów sprawy literatury, plastyki, muzyki, teatru.

***

RADOMSKA RADA MIEJSKA

Dochodzą nas wiadomości, iż Rada Miejska Radomia pragnie ufundować u siebie nagrodę literacką miasta Radomia. Byłoby istotnie rzeczą znamienną i godną podkreślenia, gdyby t. zw. prowincjonalne miasto okazało zrozumienie dla literatury ojczystej, tak zaniedbanej dziś przez sfery miarodajne. Głuchy na wszystkie w tym względzie apele Kraków, Lwów, obniżający nagrodę literacką z 10.000 do 5.000, Wilno, które na ten cel ma zamiar poświęcić pono niewięcej, niż 1.000 złotych — w danym wypadku, — mogłyby brać przykład z małego prowincjonalnego miasta, rozumiejącego jednak powagę sprawy.

***

REKORD LITERACKI

Cały świat literacki zelektryzowany został fenomenalną zaiste zapowiedzią niebywałego rekordu literackiego: Tow. Wydawnicze Rój ogłosiło wydanie 12 powieści sensacyjnych D-ra Antoniego Marczyńskiego. Do jednego z owych tomów p. t. „Czarna Pani" napisał przedmowę, słuszną, o ile chodzi o zagadnienie literatury sensacyjno - popularnej, ostrożną ze względu na ilość zapowiedzianych powieści, Zdzisław Dębicki.

W danym momencie nie chodzi nam o rekordzistę powieści sensacyjnej p. Marczyńskiego. Ma on pewien rodzaj swady, umie piętrzyć wszelakie okropności, — jesteśmy jednak przecie dopiero u brzegu tego dzieła sensacji. Obchodzi nas tu zjawisko o wiele poważniejsze, a mianowicie powstawanie, niejako po nad głowami wielkiej literatury, — literatury dla szerokich mas. Zjawisko to należałoby koniecznie zbadać, określić, za pomocą instygacji, czy odpowiednich konkursów pchnąć na właściwe tory.

Jeszcze jeden dowód, — jak wiele zadań miałaby Akademja Literatury, gdyby udało się ją stworzyć jako instytucję żywą i pracowitą.

***

KIEDY?

Nowy tygodnik p. t. Echo Tygodnia przynosi między innemi wywiad z kierownikiem biura Sekcji przekładów przy warsz. PEN-Klubie, p. J. Herlaine'm. Herlaine zbija zarzuty, kierowane przeciw prezydjum PEN'u, jakoby forytowało ono przekłady członków prezydjum. Okazuje się z przytoczonych danych, iż sekcja pracuje wszechstronnie, ogarniając dzieła pisarzy różnych kierunków.

Inna rzecz, że p. Herlaine mówi wciąż o przyszłości. O tem, co ma być wydane, co ukaże się na wiosnę, co już jest przygotowane. Nie mamy w przytoczonym wywiadzie ani jednego słowa o tem, co się już narazie ukazało. Czas już chyba najwyższy przejść od zapowiedzi do wykonania.

***

ZA MAŁY METEOR

Meteor, miesięcznik poetycki, w którego pierwszym numerze pomieszczają swe utwory pp. M. Piechal, J. Ostaszewski, Grzegorz Timofiejew i Wł. Słobodnik, zawiera czternaście stronic dość luźnego druku. Czy nie za mało, jak na miesięcznik? Czy nie za mało, względnie, czy nie za prędko wydają młodziutcy pisarze miesięczniki, w których jakościowo, i ilościowo tak niewiele mają do powiedzenia.

***

SĘDZIOWIE

Do składu sędziów nagrody miasta Warszawy wydelegował Związek Związków literackich p. J. Lorentowicza, Związek Zawodowy Literatów polskich w Warszawie p. Leona Pomirowskiego.

***

POSPOLITE RUSZENIE LITERACKIE

Uważać należy za precedens całkowicie chybiony zwoływanie w łączności z pracami sędziów, wybranych przez stowarzyszenia literackie do sądów przy nagrodach miejskich, lub rządowych — zebrań referendarskich. Charakter tych zebrań „opinjodawczych" rzekomo, w gruncie rzeczy krępować musi inicjatywę sędziów, którzy przecież, jako wybrańcy danych ciał stowarzyszeniowych są chyba już dość wypróbowanymi mężami zaufania. Praktyka takiego referendarstwa prowadzi w prostej linji do brbarzyństwa stowarzyszeniowego, polegającego na tem, że nikomu właściwie nie można powierzyć mandatu i nikt za nic ani w niczem nie może być odpowiedzialny i kompetentny.

Ostatecznie, na przyszły rok, może w jakimś sądzie konkursowym zjawić się Związek Zawodowy Literatów polskich in corpore, — jako sędzia! Czyż to nie naiwny prymityw organizacji?

***

CZY NIE SZKODA?

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska" ukazuje się już czwarty tom dzieł Stanisława Wyspiańskiego, zawierający w redakcji pp. Adama Chmiela i Tadeusza Sinki Wesele, Wyzwolenie i Akropolis. Tomowi temu poświęcimy specjalne omówienie, zaznaczając narazie, iż bądź co bądź, mimo staranności nakładu, zadziwiać musi zewnętrzna forma wydania. Wiadomo przecie, że Wyspiański, jako jeden z współredaktorów Życia, oraz wydawca swych własnych książek, wprowadził specjalny typ wydawniczy własnego układu, zdobiony przez samego siebie winietami, przerywkami, kartami tytułowymi i t. d.

Otóż owa strona zewnętrzna została w obecnem wydaniu całkowicie pominięta. Cała opieka, miłość malarza i rysownika, jaką tak szczodrze i pięknie literaturze swej okazywał Wyspiański, przekreślona została poprawnym typem wydawniczym. Czyż nie szkoda?!

***

ZNANE AŻ NADTO DOBRZE...

W jednym z ostatnich Dodatków Literackich dziennika wydawanego w Warszawie po rosyjsku „Za Swobodu" spotykamy dodatek, poświęcony rocznicy śmierci wielkiego pisarza rosyjskiego, Arcybaszewa. Znajdują się tu artykuły Burcewa, Filosofowa, Pasmanika, wiersze K. Balmonta. Z opisu rocznicy wynika, iż młodzież rosyjska nie stawiła się dość licznie, gwoli uczczenia pisarza. Dodatek Literacki, poświęcony Arcybaszewowi, przenika głęboka melancholia ludzi, — pozbawionych Ojczyzny, emigrantów. Uczucie polskim pisarzom znane aż nadto dobrze, tak żywe w dawnym zaborze rosyjskim do 1915 roku!!

***

STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI PO POLSKU

Polskie wydania dzieł Ottona Forst-Battaglii p. t. „Stanisław August Poniatowski" i „Współczesna literatura francuska" ukaże się nakładem Instytutu Wydawniczego „Renaissance".

W najbliższym czasie wyjdzie nakładem tegoż wydawnictwa inna praca tego autora: „Współczesna literatura polska". „Renaissance" zapowiada równocześnie wydania polskie, niemieckie i czeskie tej książki. *xyż.*

O WYKŁADY HISTORJI KULTURY NARODOWEJ

(Na marginesie art. p. J. K. Bandrowskiego p. t. Literacki Kościół Wojujący).

Dziedzina tak obszerna i tak jeszcze dotąd niezgłębiona, niestety, przez naszych polonistów, jeśli chodzi o szkoły średnie — to wykłady literatury polskiej. Obszerna, bo jakiż olbrzymi zakres wyłania się przed nami, co jeszcze mamy do zrobienia i do odrobienia, że tu już nie podkreślę programu, zaleconego przez miarodajne czynniki. Niezgłębiona, bo zarówno program, jaki się siłą faktu oficjalnie, czy nawet osobiście narzuca, jak i nasze codzienne prace i zamierzenia nie odpowiadają ani istotnym warunkom ujęcia tego przedmiotu, ani czasowi przypadającemu, ani wreszcie pojęciom, zmieniającym się z dnia na dzień.

Wykłady literatury polskiej w szkołach średnich odbywają się mechanicznie, bezdusznie, nie mogą zatem w ucznia wpoić zamiłowania do przedmiotu i zachęcić go do pracy, a przecież to winno być w danym wypadku naszym celem. Ileż to razy słyszy się zdanie, że naukę literatury traktuje się zbyt formalnie, nie daje się w niej ani odbicia współczesnej epoki, ani ducha czasu, ani nawet nie podkreśla się wyraźnie sine ira et studio dążności pisarza.

Powie ktoś: jakże można tego wymagać przy tak znikomej ilości godzin, przy ciągłym braku podręczników, bądź ich lichym doborze? Jakże można mówić ludziom w bardzo młodym wieku o rzeczach nieskończenie poważnych i dalekich od językowej wyłącznie sprawy? Jak można prawić młodym umysłom o czemś, co się nam samym wydaje niekiedy odrębnem od tych rzeczy, które mamy w ciągłem użyciu, a więc od sufiksów, fleksji, jambów itd. Poloniści nasi nie mają w tym kierunku żadnego przygotowania, powiedzmy wyraźniej, nie chcą się do tego przykładać. Biorę przykład: Skarga — mówi się o nim przeważnie, jako włodarzu słowa, mówiącym przepięknym na owe czasy językiem, o sile napięcia krasomówczego — natomiast ani słowa na temat jego roli, roli jego kazań w dziedzinie politycznej czy wychowawczej narodu, a jeśli nawet coś się w tej mierze bąknie, to mimochodem, delikatnie i tak niezaradnie, że uczeń przeważnie nigdy nie wie, co zacz „był ten kaznodzieja, natomiast na pamięć będzie „pytlował" kazanie „O miłości ku ojczyźnie", nie wysnuwając zresztą z tego żadnych wniosków. I stwarza się w umyśle młodego chłopca taki dziwny chaos, że niekiedy gotów Skargę kreować na ideał Sawonaroli, gdy tymczasem był to dydaktyk rozmyślny w całem słowa tego znaczeniu o wybitnem zabarwieniu politycznem.

Wziąłem specjalnie tak jaskrawy przykład dlatego, że podany kanodzieja i pisarz jest tematem bardzo licznych dysput i wywołuje najprzeróżniejsze komentarze. I wogóle, jeśli chodzi o literaturę polityczną, naukową, czy nawet poprostu obyczajową w Polsce, to jest to ugór całkowity, na którym wśród młodzieży albo się nic nie robi, albo się zrobiło tak mało, że to paczy pojęcia. I wobec tego znamienny głos J. Kaden-Bandrowskiego o małej aktualności naszych wykładów literatury w szkole średniej ma pełne prawo krytyki.

Istotnie. Połóżmy rękę na sercu: wykłady literatury polskiej w szkole średniej i w związku z tem podręczniki są traktowane zanadto po kronikarsku — bierze się takiego Ostroroga, przybranego w togę Cycerona i Katona, polityka z krwi i kości, a po nim zaraz przychodzi Mikołaj Rej z Nagłowic, który poza zasługą pierwszego pisarza w języku ojczystym i dość zresztą krotochwilnem, a mocno naiwnem odbiciem epoki w twórczości, w dziejach kultury narodu nie odegrał głębszej roli, przyczem jakby na ironję, temu drugiemu, poświęca się dziesięć razy tyle czasu, niż pierwszemu. A oto inny przykład.

Rozwodzimy się bardzo nad pięknością elegji Klemensa Janickiego, zresztą niezaprzeczenie pięknych utworów łacińskich, ale podajemy je w formie namiastki, czyli zachwycamy się przeróbką Syrokomli, ale gdzie tu obraz ducha-języka Janickiego? A tymczasem Marcin Bielski, który swoistą sobie metodą ujmował zagadnienia życia polskiego i w mowie ojczystej, zeszedł do roli kopciuszka.

To wszystko nasuwa mi następujące wnioski: należałoby przedewszystkiem oddzielić to, co się tyczy życia kulturalnego narodu od fragmentaryki językowej. To, co dziś nazywamy wykładami literatury, rozłożyć by trzeba na części — jedna obejmowałaby wykłady języka i poezji (przestańmy to już raz nazywać literaturą); tu wchodziłaby gramatyka, stylistyka, wszelkie rodzaje poezji w stylistycznem znaczeniu, gdzie pełny wyraz znalazłaby,

bo znalezćby musiała miejsce, powieść i poezja polska. Druga objęłaby życie i zagadnienia z zakresu kultury narodowej, to, co dziś nazywamy literaturą polityczną, obyczajową, dydaktyczną, — to pozwoliłoby snuć na tle kultury dalsze wnioski i zgłębiać te dziedziny, które leżą do dziś odłogiem. Praca ciężka i trudna, ale mam wrażenie jedynie owocna, bo zapełniłaby lukę, tkwiącą obecnie i przyczyniłaby się do podniesienia poziomu umysłowości naszego ucznia.

F. Zaremba.

JESZCZE W SPRAWIE LITERACKIEGO KOŚCIOŁA WOJUJĄCEGO

(Głos ucznia).

My, młodzi godzimy się w zupełności z poglądem Pana Kaden-Bandrowskiego. Żądamy przedewszystkiem literatury współczesnej! Bo tylko w ten sposób nabierzemy ciekawości i ochoty do badań literatury ubiegłych stuleci. Zresztą wychodzimy a priori z założenia, że literatury przeszłych wieków nie powinno się wykładać z mikroskopijną dokładnością, jak to czynią nasi poloniści.

Czy poto żyjemy w XX wieku, by całemi latami uczyć się wciąż i wciąż literatury zamierzchłych stuleci, pozbawionej już dawno sensu i aktualności, a nie wiedzieć, co się obecnie dzieje pod nosem? Żądamy rzeczywistości i odmiany! Pora już skończyć ze scholastyką. Nie chcemy być nekrologami, dość nam tego dobra. Dajcie nam więcej światła, bo chorujemy na suchoty od szarzyzny lektur a la Kronika Kadłubka czy Wojna Chocimska.

Czy nie wstyd i hańba, że uczeń, który kończy gimnazjum — choćby z postępem bardzo dobrym — wie tylko, że istniał Szymonowicz i Karpiński, Krasicki i Krasiński, a gdy mu ktoś przypadkowo prawi o współczesnych wybitnych poetach i powieściopisarzach, wybałusza oczy i odpowiada frazesem słyszanym od polonisty: „wiek XIX był wiekiem genjuszów, XX jest tylko wiekiem tandeciarzy“.

Nie, tak dalej już być nie może. Przed naszemi oczyma przesuwa się rzeczywistość stokroć wspanialsza od czasów Zygmuntowskich i o wiele mądrzejsza od wieku oświecenia.

Jak długo jeszcze będziemy „kuli“ na pamięć fraszkę „O Doktorze Hiszpanie“ i „Jana Dęboroga“? Słusznie zaznaczył Pan Kaden, że tracimy smak do literatury. Wypływa to stąd, że uczą nas skandalicznie źle. Interpretując nprz. Sonety Krymskie, wyrażają się tylko: „Sonety te są cudowne, bo mają kunsztowne rymy i malują uczucia“ (Dosłowne zdańko z wykładu profesora, cieszącego się opinją „wybitnego“ polonisty).

A zadania! Wciąż te same oklepane, banalne tematy z lat 30 i 40, jakby już innych nie było. U nas nprz. pisze się w 8-ej klasie (gimnazjalnej) zadania na tematy: „Co należy czynić, by długo żyć“, „Co mi opowiedziała stara lipa“ (babcia — wszystko jedno), i to zawsze w ramkach szablonowej dyspozycji.

I to ma być nauka?! Do czego taki system nauczania doprowadzi? My uczniowie czujemy niebezpieczeństwo, które już wydaje owoce: do uniwersytetów dostają się analfabeci. A wypływa to stąd, że uczeń w ciągu ośmiu lat gimnazjalnych uczy się traktować wszelkie objawy życia czy sztuki bezkrytycznie, niewłaściwie, zabija mimowoli swoją oryginalność (swoistość) myślenia i wysłowienia się, a już do literatury odnosi się z całkowitą pogardą.

Wobec tego wymaga nauczanie literatury i języka polskiego w gimnazjach nie polemiki ani usprawiedliwień ze strony profesorów-polonistów, lecz koniecznej i szybkiej reformy. Dotychczasowy stan rzeczy zagraża całemu młodemu pokoleniu: zabija wszelką indywidualność i, co gorzej, cofa nas wszystkich, co do inteligencji, wiedzy i estetyki, w tył. A my, dzieci XX wieku chcemy przecież żyć.

Simplex.

WŚRÓD CZASOPISM

Pozbawione jakiegokolwiek politycznego zabarwienia, wrażenia „Z podróży po Hiszpanji i Portugalji“ Stanisława Witkowskiego, drukowane w ostatnim numerze krakowskiego miesięcznika „Przeglądu Współczesnego“, pozwalają stwierdzić, że w krajach tych, niewiele zmieniło się po latach dwudziestu. to jest właściwie w ciągu całego bieżącego stulecia.

Wprawdzie Hiszpanja wzbogaciła się po wojnie, a raczej przez wojnę—na dostawach dla obu stron walczących i dziś ma się tam wrażenie dobrobytu ludności, zwłaszcza w porównaniu z Portugalją. Madryt robi się miastem nowoczesnem, prawdziwie pięknem. Przybywa mu gmachów wspaniałych; całe dzielnice, dawniej pełne wąskich uliczek, zburzono i na ich miejsce pociągnięto szerokie, okazałe zabudowane ulice. Uniwersytet madrycki, wydatnie popierany przez rząd, kierujący się w dziedzinie nauki centralizmem, kwitnie wprawdzie, ale inne uniwersytety wydają się zaniedbane.

A oto i odwrotna strona medalu: każdy pociąg konwojowany jest przez żandarmów, widocznie stosunki bezpieczeństwa się nie poprawiły. Wszystkie dawniejsze niewygody podróżowania dają się we znaki i obecnie . W Asturji dopiero, objechawszy cały półwysep, spotykamy nawożenie roli, że jednak jesteśmy w Hiszpanji, przypomina nam pług zupełny prymitywny..

BOJE POLSKIE W AMERYCE PÓŁNOCNEJ.

W polsko-amerykańskiej prasie ukazała się zapowiedź przygotowanej do druku historji udziału Polaków w amerykańskiej wojnie domowej. Według dotychczasowych wiadomości stwierdzono w tych walkach udział 6 oficerów Polaków—po stronie unijnej — w tem jednego generała, Krzyżanowskiego.

Okazało się jednak, że udział Polaków zarówno po stronie unji, jak i konfederacji, był nietylko dość liczny, ale i wybitny. Nie setki nawet, ale tysiące Polaków walczyły w obu armjach z wiarą, że walczą za dobrą, choć cudzą sprawę.

Jeden z pułków unijnych nosił nazwę „Legjonu Polskiego", po stronie konfederacji walczyła „Brygada Polska", istniał nawet plan stworzenia wielkiego korpusu polskiego z rozbitków powstania styczniowego.

Polak był pierwszym oficerem unijnym, Polacy byli pionierami amerykańskiej służby sygnałowej, inżynierowie polscy słynęli ze swych doskonałych fortyfikacyj, jednego z Polaków nawet Niemcy uznali za „jednego z najtęższych dowódców jazdy unijnej".

Historję tego udziału Polaków w bojach amerykańskich skreślił Mieczysław Hajman, autor pracy **„Z przeszłości polskiej w Ameryce"**, wydanej w ub. r. w Buffalo i zawierającej 18 szkiców historycznych o nieznanych dotychczas epizodach z dziejów dawnej polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych.

T. Gleyden.

Z NIWY POLONIKÓW

Wyspiański w Japonji.

Wyspiański zawędrował do Japonji w towarzystwie Molnara i braci Karola i Józefa Czapeków. Obok klasycznego teatru w Tokio istnieje jakgdyby odpowiednik europejskich scen eksperymentalnych — teatr awangardy, młodych pisarzy, nowatorów, hołdujących europejskim kierunkom w sztuce dramatycznej.

W jednym tomiku w formacie większej ósemki, drukowanym na cienkim papierze, tak, iż mimo kilkuset stron objętości, książka nie jest grubą, ukazał się zbiór przekładów czterech sztuk: Molnara, dwie K. Czapeka — „Rossoms Universal Robots" i „Sprawa Makropulos", — jedna napisana przez K. i J. Czapeków — „Z życia owadów" — i w tłumaczeniu Kunitaro Takahasi „Sędziowie" Wyspiańskiego, którą tą sztukę teatr Tsukiji zamierza wystawić w bieżącym sezonie. Zamierzają również japońscy awangardziści wystawić „Śnieg" Przybyszewskiego, podobno już przetłumaczony na język japoński przez wybitnego autora dramatycznego Kaoru Osanai.

W powyższym zbiorze tytuły sztuk są wydrukowane także czcionkami europejskiemi. Imię naszego autora brzmi „Stanislaus", z czego wnioskować można, iż „Sędziowie" zostali przetłumaczeni na japoński język z francuskiego, gdyż istotnie sztuka ta razem z „Klątwą" istnieje w przekładzie francuskim, na język zaś czeski była tłumaczona w 1915 r. przez A. Czernego.

Sprawy polskie na scenie angielskiej.

Na międzynarodowem tle Genewy rozgrywa się akcja sztuki „Listeners" Reginalda Berkley'a, osnutej na kwestji naszych granic i stosunków polsko-bolszewicko-niemieckich.

Żywioł polski reprezentuje w tej sztuce księżniczka „Wanda Meretinski" o nazwisku przypominającem nieco generał-gubernatora Kongresówki Imeretinskiego, z plejady gruzinów-karjerowiczów rosyjskiego ancien-régime'u. Księżniczka ta zresztą jest gorącą patrjotką i kokietuje angielskiego lorda w interesie swego kraju. Młody lord jest przewodniczącym komisji Ligi Narodów, która opracowuje referat w sprawie granic Polski. W toku akcji lord zostaje porwany przez wrogów Polski, którym idzie o wywołanie w świecie wrażenia, że zrobili to właśnie polscy agenci. Po różnych zawikłaniach lord odnajduje się w laboratorjum chińskiego doktora, produkującego dla bolszewików bakterje, które mają być rozrzucone po Polsce. Dzielna księżniczka, zabijając z rewolweru w samą porę szpiega-prowokatora, usuwa niebezpieczeństwo wojny.

Autor poluje nie bez powodzenia na sensację, posiada może trafną ogólną orjentację w sprawach wschodnio - europejskich, ale naogół operuje nieprawdopodobnemi efektami na tle bardzo a bardzo dowolnej znajomości Polski i Rosji.

tgl.

Z WŁOSKICH STOSUNKÓW WYDAWNICZYCH

„Raduno" dwutygodnik włoskiego Syndykatu Pracowników Umysłowych, ogłasza ostateczny projekt t. z. „kontraktu wzorowego" między wydawcą, a autorem. Kontrakt ten o ile zostanie przyjęty przez Syndykat Wydawców będzie stanowił prawną podstawę w stosunkach księgarzy i autorów. Ustalony niedawno „kontrakt wzorowy" między wydawcami, a dziennikarzami zadowolił obydwie strony, z czego sądząc „Raduno" wnosi, że przyjęcie drugiego kontraktu nie będzie przedstawiało wielkich trudności.

Kontraktem, według projektu, wiąże się autor tylko na dwa pierwsze wydania, następne wymagają odnowienia kontraktu.

Obie strony porozumiewają się co do procentów autorskich, które jednak nie mogą być niższe jak 15 proc. (ceny katalogowej). Pierwszą część procentów w formie zaliczki, po podpisaniu kontraktu, otrzymuje autor z chwilą złożenia manuskryptu, następne raty (2 do 3) w przeciągu czasu nie większym, jak rok. Pozatem kontrakt ma omawiać wielkość nakładu, ilość stron, ilość linij na stronie, rodzaj druku i nazwę drukarni w której wydawca zamierza książkę drukować. Po trzech latach uważa się książkę za wyczerpaną, poczem autor, jeśli poprzedni wydawca nie chcę przystąpić do ponownego wydania, może z inną firmą podpisać nowy kontrakt.

Wydawca, który po podpisaniu kontraktu i otrzymaniu manuskryptu przez rok książki nie wydaje, traci do niej prawo, przyczem autor może zatrzymać wszelkie sumy wpłacone mu przez wydawcę na rachunek autorskich procentów.

Prawo przekładów, czy adaptacji należy do autora, pozatem kontrakt zastrzega dla autorów prawo do rysunków, czy fotografij z ich książek, jeśli były kupione, czy przygotowane staraniem autora.

Wkońcu kontrakt wymaga, aby każdy egzemplarz książki był zaopatrzony w znaczek Syndykatu Autorów, egzemplarze bez kontrolnego znaczka Syndykatu będą konfiskowane, w ten sposób uniknie się t. zw. nadbijania.

Omawiający „kontrakt wzorowy" artykuł w francuskiem piśmie literackiem podnosi wysokość procentów, nie można jednak porównywać stosunków księgarskich Francji i Włoch. Z jednej strony bowiem nakładcy francuscy łożą olbrzymie sumy na reklamę swoich wydawnictw, z drugiej strony nakłady francuskie przewyższają nieskończenie włoskie, przez co nawet przy mniejszym procencie francuscy autorzy zarabiają znacznie więcej. We Włoszech książka, której nakład sięga 20.000 jest niebywałym sukcesem, a przeciętny nakład wynosi 15.000 egzemplarzy.

Włoski kontrakt wzorowy przypomina kontrakt rosyjski z 1921 roku. Większość klauzuli jest identyczna, jednak ten ostatni nie znając procentów normuje honorarja autorskie od 100 do 300 rubli (zależnie od ilości stron). Normalny nakład oblicza na 10 tysięcy egzemplarzy. Prawo do drugiego wydania uzyskuje wydawca osobnym kontraktem, płacąc conajmniej 65 proc. pierwszego honorarjum.

U. T.



De Notenkraker *Amsterdam*

Wybuch Wezuwjusza faszyzmu

NAD KSIĄŻKĄ

Aforyzmy L. A. Seneki.

Czytania ksiąg nie zaniechywam, ponieważ sądzę być wielce potrzebne, częścią dlatego, abym na sobie tylko nieprzestawał, częścią, abym to poznawszy, czego inni szukali, i dobrze umiał sądzić o rzeczach już wynalezionych, i dobrze myśleć o wynalezieniu innych.

(Epist. 84, I. tł. X. Dawid Pilchowski, Wilno 1781).

***

Nie powinniśmy się bawić abo samem tylko czytaniem, abo samem tylko pisaniem. Bo jedno, rozumiem poślednie, łatwo ponurości nabawia a sił pozbawia, drugie zaś osłabia i rozprasza. Najlepiej jedno drugim na przemiany lozować i tak miarkować, aby, co jedno czytanie w kupę zagarnie, to pióro ułożyło porządnie. Trzeba w tej mierze naśladować pszczoły, które w różne lecą strony i kwieciste wyssawszy soki powracają, toż przyniesione z sobą słodkie plony rozkładają i na plastry rozprowadzają, jako nasz nuci Wirgiljusz:

***

... Topne w kupę znosząc miody,
Rozkładają sok słodki w woskowe przegrody.

(Epist. 84, 2, tł. tenże).

***

Niektórych pisma mają tylko na czele poważne i wystawne imię, w reszcie jakbyś gryzł wióry, wszystko czcze i martwe. Szykują, dysputują, szarpią; serca i ochoty nie dodają, bo sami nie mają.

(Epist. 64, 3, tł. tenże).

Za najpierwsze znamię zrównoważonego umysłu poczytam: móc znaleźć w sobie utwierdzenie i obcowanie. Na to wszelako bacz, iżby ono twoje czytanie mnogich pisarzów i wszelakiego rodzaju ksiąg nie zawierało w sobie czegoś niestałego i chwiejnego.

Na ufność wzbudzających umysłach zatrzymywać się i z nich pokrzepienie brać trzeba, jeślibyś pragnął coś sobie przyswoić, coby w duszy trwale się ostało. Nigdzie nie jest, kto wszędy jest. Tym, którzy żywot na wędrówce trawią, to przychodzi, iż liczne miewają znajomości, nijakich przyjacielstw.

To samo przygodzić się musi tym, którzy niczyjemu się dowcipowi bliżej nie garną, ale po wszystkich chybcikiem i śpiesznie się przemykają. Nie służy ku pożytkowi, ani w ciało nie idzie strawa, która tuż po spożyciu wraca. Nic równie zdrowia nie psowa, jak lekarstw częsta odmiana. Nie zaciąga się blizną rana, na której driakwi próbują. Nie mocnieje roślina, którą często przesadzają. Nic niemasz tak przydatnego, coby mimochodem szło na pożytek: sprawia roztargnienie ksiąg obfitości. Tedy skoro przeczytać nie zdołasz, ile mógłbyś posiadać, dość jest posiadać, ile przeczytasz. „Atoli — odeprzesz — to do tej księgi chciałbym zajrzeć, to do owej..." Znarowionego to żołądka właściwość wiele rzeczy tasować, które, gdy odmienne są a przeciwne — zaplugawiają go, nie

sycą... Wybrańców przeto zawżdy czytuj, a jeśli kiedy ku inakszym obrócić się wzięłaby cię ochota — ku pierwszym nawracaj, potroszę co dnia przeciwko ubóstwu, potrosze przeciwko śmierci posiłku przysposabiaj, a równie przeciw inszym dopustom. Skoro zasię wiele przebieżysz — jedno uszczknij, cobyś onego dnia przetrawił. To ja sam też czynię: z wiela rzeczy, którem przeczytał, czegoś się dochwytuję.

(Epist. 2, 1—5, tł. Mieczysław Olszowski, 1922).

Wybrał Es-te.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY

Woj. Sk.: Prosimy o list. Wiersze zdradzają dużą już kulturę literacką, nie są jednak jeszcze gotowe do druku. Bierze Pan, wedle naszego przekonania, zgoła niepotrzebnie t. zw. najwyższy ton, gdy chodzi o wybór tematu. Na wyżynie takiej utrzymać się trudno i nie może Pan zadaniu podołać.

Martin: Jak się pracuje nad stylem? Przedewszystkiem należy mieć uzdolnienie do pracy literackiej, tak jak się jest zdolnym do gry na fortepianie (dobra ręka, czuły słuch, dobra pamięć, spokojne nerwy itp.), do buchalterji, do śpiewu itp. Pierwszym warunkiem pracy jest samokrytycyzm piszącego. Gdy udało się nam, wedle naszego mniemania dobrze coś napisać, odłóżmy na dzień, dwa, napisany utwór. Przejrzyjmy go ponownie, odczytajmy głośno. Czy ma warunki, by prócz nas, mógł się jeszcze komuś innemu podobać? Czy jest zrozumiały, sam przez się? A jeżeli tak, to komu prócz nas mógłby się podobać? Tu, prócz zagadnienia „co" piszemy, wyłania się drugie — d l a k o g o p i s z e m y? Naszym czytelnikiem jest w zasadzie nasze najlepsze, najbardziej wymagające j a.

Antoni T. S. Lwów: Życie akademika nie jest słodkie — zapewne. Wogóle nie wiemy, czy życie ma być „słodkie"? Dwa wiersze, o których Pan wspomina zaginęły widocznie po drodze, odesłaliśmy bowiem wszystkie.

Areg: Drukujemy tu początek pańskiego wiersza:

O wy dni przedwyborcze, już miasto pokryte
odezwami, listami, płachtami obszyte
tu samochód partyjny, tu kartki rzucają,
agitują, nawzajem się każą i plwają,
Precz, niech żyje socjalizm, endecja, komuna!
Nad miastem walk partyjnych krwawa błyszczy łuna,
tu odezwy zdzierają, tu policję biją,
bez mózgu i bez serca za swą partją wyją!

Całości nie wydrukowaliśmy. Może jednak po wydrukowaniu tego kawałka woli Pan, by całości już nie drukować?!

Z. Beł. Łódź: Sprawdzać z oryginałem nie będziemy. Przekład roi się od błędów językowych. Nie rozumiemy— jak kot mógł się ukryć „za beczką oczu"? I po co przekłada Pani tak trudne rzeczy, nie władając wcale ani składnią, ani zwrotką, ani nawet doborem słów?

Wir. Toruń: Niestety — nie do druku jeszcze. Rzecz byłaby wzruszająca, gdyby Pan jakoś dał do zrozumienia czytelnikowi powody owej samotności. Czytając wiersz pański nie odczuwamy smutku, o który tak Panu chodzi. Niech owo „ja" zestawi nasz świeży utwór z innemi w tym rodzaju. Zacznie pracować przy tem porównaniu. Nie możemy Panu szerzej tego tłomaczyć, obracamy się przy najbliższym brzegu zagadnienia, sądzimy jednak, że nawet ów brzeg najbliższy każe się już Panu poważniej zastanowić nad pracą pisarską.

Wyrwa: Nadużywa Pan tak wspaniałego pseudonimu! Niezapomniany major Wyrwa miał wielki talent wojenny, prostotę działania, rozmach w uderzeniu, celowość manewru, wszystko, — czego Panu brak w nadesłanej pracy!

Nietaki: Każe Pan tej dziewoji przychodzić w krótkiej sukience do kolan, do tego jeszcze białej, aby ją porwać w swe objęcia. W nagrodę obiecuje Pan swej ukochanej nie skarżyć się na życie. Uważamy, że to niewiele, zbyt mało za tyle poświęcenia ze strony tej niewiasty!

Prof. F. Z., Bydgoszcz: Oczywiście umieścimy. Uwagi nader słuszne. Nie dziwi się Pan jednak, że artykuły różnych jego kolegów polemiczne a niepodpisane nazwiskiem muszą iść do kosza. Sprawa literackiego Kościoła Wojującego jest zasadniczą, — bardzo słusznie, — i domaga się gruntownej reformy.

Marszałek: Wiersz przeciętny, ubogi rymem i rytmem poszedł do kosza.



Le Rire *Paris*

Liga Narodów i transport kulomiotów węgierskich.

Flor. Kr., Łódź: Redakcja rękapisów nie zwraca. Wiersze niedojrzałe, względnie gorzej niż niedojrzałe, — pospolite. My też cieszymy się ze zwycięstwa jedynki. Niech pan jednak raczy zrozumieć, iż opiewać najzacniejsze zwycięstwa lichą poezją, to odbierać im ich blask i powab!

Woj. B., Poznań: Pierwszy z nadesłanych wierszy będzie drukowany. Inne słabsze chyba? Podzielamy zdanie Pana co do Kwadrygi i Skamandrytów. Może napisze Pan o tem do nas artykuł, ewentualnie dyskusyjny, — chętnie wydrukujemy. Uważamy iż sprawy te należy koniecznie omawiąć publicznie. Wymiana zdań przynosi tyle dobrego!

Elefant: Być może jest to poezja? Wedle naszego zdania poezja ta jest przepoetyzowana! Dzięki temu zamiast przenośni, jednej pięknej przenośni któraby cały wiersz oplotła, używa Pan nieskończonej ilości ciężkich porównań, niszczących wrażenie piękna i swobody.

Handelsman, Tarnobrzeg: Warszawa, Chłodna 6.

Nic: Uważamy, iż trzeba było podjąć dany temat w rozprawie filozoficznej. Rzecz nie może pomieścić się w tak krótkim wierszu.

Józef Krz., Monasterzyska: Utwór słaby, nie trzeba przysyłać dalszego ciągu. Zamiast budować własną prozę, pisze Pan oklepaną od tylu lat napuszoną bezosobistą — prozą poetycką.

Wandering - Boy: Nie nadaje się do poezji, ale czemuż nie pisze pan na ten temat artykułów politycznych?

Juljan Przyboś, Cieszyn: Wydrukujemy, jako artykuł dyskusyjny, niechże więc sposobi się Pan do zaciętej walki.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka" Nowy Świat 22

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem